

Adam RODZIŃSKI

Z ROZWAŻAŃ O SENSIE DZIEJÓW I TRYNITARNYM WZORCU OSOBOWEGO ZJEDNOCZENIA

„Communio Personarum” Trójcy Świętej jest [...] archetypem wszelkiego - w Duchu Prawdy - zjednoczenia ludzkich osób. Majestat „bycia Osobą Boską” ma podobieństwo swe i odwzorowanie w niezmiennej i nieutralnej godności „bycia osobą ludzką”, która wszystkich ludzi równa i jednoczy jako podstawa elementarnego, jednakowo przysługującego im respektu.

Kto zastanawia się nad tym, co się szczególnie doniosłego dzieje we współczesnym, nasyconym informacją świecie, nie może nie zauważyć, że czołówka cywilizacyjnego rozwoju w skali ogólnoplanetarnej staje się coraz mniej pewna kierunku dalszej drogi. Wielkie mity minionego wieku wypaliły się w tysiącach pogorzeliisk, nad niektórymi z nich do dziś snuje się przykry swąd. Humanistyczne i demokratyczne orientacje myślowe tracą – choć nie wszędzie – wroga. To cieszy, ale ma dla nich skutek również niewesoły: zbyt się rozdrabniają, sphycają swą inspirację, ideowa ich busola gubi swą jednoznaczność i bezkompromisowość w gąszczu pragmatycznych alternatyw. Personalizm, oklaskiwany prawie wszędzie, owocuje raczej słabo, najwidoczniej posiewem swym trafia na jałowy grunt. Jednostkom elitarnym, koryfeuszom postępu skupionym w ośrodkach władzy wiedzie się nierzadko za dobrze, a to już dobrze nie jest: długi okres względnego pokoju i stabilizacji nasiąka propagandą łatwizny życia i beztroskiego, krótkowzrocznego epikureizmu. Dalekie horyzonty kryje noc i mgła.

Dziejów człowieka na ziemskim globie sens definitywny, gdy go próbujemy ująć generalnie, wymaga penetracji szeregu wątków antropologiczno-filozoficznych i teologicznych; niestety, niektóre tylko z nich przywołane być mogą w niniejszej krótkiej i wybiórczej medytacji. Czymś, co się tu nastęrcza jako temat priorytetowy, jest z natury rzeczy sama istota czasu, w dalszej zaś konsekwencji temporalność względnie transtemporalność gatunkowej naszej natury, jakiej sobie człowiek nie wymyślił, lecz jaką otrzymał w darze.

„Czym jest czas, wiem dobrze, gdy mnie nikt nie pyta; nie bardzo wiem, co odpowiedzieć, kiedy mię pytają” – niech mi wolno będzie na początek powtórzyć za świętym Augustynem. Zakrawa na paradoks, lecz w gruncie rzeczy tak już jakoś jest, że prawie cała nasza wiedza o istocie czasu składa się raczej z pytań niż z jasnych i jednoznacznych na nie odpowiedzi. Dobrze jednak i to, jako że nie zawsze pytania „niczego nie stwierdzają, niczemu nie przeczą”, często bowiem coś nam sugerują. Jakież to będą pytania?

Skoro różne są mierniki zachodzących zmian, skoro zmiany te uplasowane są na różnych kondygnacjach bytu, to czy wolno nam zakładać, że czas, w którym się one dokonują, jest całkiem jednorodny – bo może raczej pojawiają się i wchodzą w grę różne jego rodzaje, ilekroć śledzimy i analizujemy nasze ludzkie losy? A jeśli tak właśnie jest, to na przykład: co miałby wspólnego czas duchowy (ewialny, jak się go zwie) z czasem, którym operuje muza astronomii nastawiająca nasze zegarki według wielkich zegarów kosmosu? A czas mikro-kosmiczny, czy dzieli się na jakieś kwanty „aktualności obiektywnej”? I jak rozumieć czas terażniejszy: nasze teraz, które już gdy się je zapisuje albo wypowiada, tracić się zdaje swoją aktualność, więc poniekąd samą swą istotę? Cezura rozgraniczająca przeszłość i przyszłość w nas i poza nami – czymże ona jest, skoro oprzeć się na niej równie trudno, jak na ostrzu noża? Jaki jest stosunek przemijania do tego, co trwa? Czy wszystko to, co „było a nie jest”, nie ma żadnego dalszego udziału w tym, co obiektywne i realne, czy – innymi słowy – naprawdę odeszło w niebyt, czy jakoś pozostaje, a my maszerujemy dalej? Czy wreszcie nie jest tak, że cały ród ludzki podąża ku wieczności, napędzając się nią już w trakcie ziemskiej swej pielgrzymki, aby móc kiedyś stanąć w całej swej raz na zawsze ustalonej prawdzie przed Tym, który ekscentrycznie JEST?

Absolutna ponadczasowość Boga nakazuje liczyć się z możliwością, jak również z faktycznością takich nawet związków przyczynowo-skutkowych, które niejako „odwracają czas”: skutek usytuowany na wektorze rozciągniętego w czasie przygodnego („kontyngencjalnego”) trwania naszej tożsamości poprzedzać może niekiedy istotną swą przyczynę, skoro Bóg ingerujący providencjalnie w koleje naszego losu – a dotyczy to także grup ludzkich – równie jest bliski temu i obecny w tym, co jest dla nas w tej chwili aktualne, jak jest bliski temu i obecny w tym, co było i co będzie. Kształtując po swej własnej myśli ludzkie dzieje, ma On to wszystko na oku od zawsze, może i wolne decyzje nasze uwzględniać nim zapadną i wiedzę o nich przekazywać komu i kiedy zechce. Widzi je w całej ich prawdzie, toteż wie o nich nie jako o czymś fatalistycznie zadekretowanym, bo czymś takim nie są, lecz jako o takich, za które my sami w swoim czasie okazujemy się odpowiedzialni, których własna nasza osoba okazuje się autorem zdobywającym zasługę moralną czy obarczającą się moralną winą. Podobnie fakty przyczynujące to, co przydarzyło się nam na pozór przez przypadek, mogą realizować się później i na swój sposób objaśniać to, co się wcześniej stało. Znane i często przytaczane porównanie indywidualnych losów człowieka – jak również dziejów narodu czy ludzkości – do haftu, który dziś oglądamy od „podszewki” pełnej przebiegających w różnych kierunkach i krzyżujących się nici, trafia w sedno rzeczy. Przyjdzie czas (obojętne, czy będzie taki sam, czy może jakiś inny), gdy zobaczymy świat od strony prawej, gdy posłuchamy „hymnu wieków” odbieranego dziś może niekiedy na wspak, jako rażąca uszy kakofonia. Czyjeś „pretensje do Pana Boga”

o to czy o owo okażą się wtedy w sposób dla wszystkich jasny szczytem bezrozumu, bo i cóż my dzisiaj możemy wiedzieć o ponadczasowej myśli Bożej – tak niepodobnej do przyziemnych ludzkich oczekiwań i zamiarów – jeśli nam tego nie objawi Bóg?

Skoro przyszłość nasza niekiedy, to tym bardziej przeszłość – ta zaś nie okazjonalnie już, lecz permanentnie – wsącza się w nasze „hic et nunc”. Pełny kształt tego, co się aktualnie dzieje z każdym z nas, a summa summarum z całym ludzkim rodem, przedstawiać się więc może, a poniekąd musi, nader zagadkowo: jako trudny niezmiernie, czy wręcz niemożliwy do rozwikłania splot różnorodnych „zdarzeń i zderzeń”, zewnętrzných czy wewnętrznych wpływów i uzależnień od okoliczności fragmentarycznie tylko uchwytnych, nawet w odpowiednio pogłębionej nad nimi refleksji. Łańcuch napływających ku nam dni i lat niesie z sobą materiał bardzo różnorodny: coś do skonsumowania na bieżąco, coś do zachowania czy również przetworzenia tak, by można było tym się posługiwać w uzyskiwaniu potrzebnych nam rzeczy, coś do przyjęcia nie dla siebie, lecz dla innych osób w trakcie tego ciągłego „brania i dawania”, z jakiego składa się współzycie międzyosobowe. Wieloma nurtami toczą się ludzkie dzieje, przy czym nurt najgłębszy to dzieje życia wewnętrznego, dzieje duszy. Również logika doniosłych społecznie wydarzeń streszcza się i ujawnia w tym, czym i kim okazuje się człowiek, gdy pod fizykalną i psychiczną jego strukturą odsłoni się jego struktura metafizykalna i źródło jej funkcjonowania ściśle osobowe: sama osoba jako „zasada zasad”, principium principiorum.

Cóż o kierunku i sensie dziejów ludzkich wiedzieć i powiedzieć może ktoś, kto nie wie, kim jest człowiek? Historia antropologii filozoficznej, przemydlowana należycie, doprowadzić musi do konkluzji: kim człowiek jest w najgłębszej o nim prawdzie, nie wiemy, ignoramus et ignorabimus, póki nie zapytamy o to Boga.

Wierzący wiedzą, że wystarczająco jasną i adekwatną informację o tym, kim jest człowiek, przynosi dopiero Objawienie, w którego szczytowej fazie poucza nas o tym „Syn Człowieczy”, który jest Synem Bożym. „Tajemnica człowieka wyjaśnia się naprawdę dopiero w tajemnicy Słowa wcielonego” (*Gaudium et spes*, nr 22). Objawienie, jakie Kościół – ów „jeden, święty, powszechny i apostołski” – otrzymał od Chrystusa, jakie też „w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego” wiernie ludziom głosi, prowadzi nas przez wiarę, więc mocą łaski Bożej, ku tajemnicy Słowa związanej ściśle z tajemnicą Trójcy Świętej, w której to tajemnicy Bóg jawi się jako istniejący w trzech Osobach różnych i odrębnych i chociaż jest do pomyślenia tylko jako jeden jedyny, eksceletywnie samoistny Byt, okazuje się trynitarną wspólnotą Boskich Osób. Każda z Nich jest jednym i tym samym Bogiem, każda jest więc w każdej i jako „ta oto, nie inna” da się pomyśleć jedynie z uwzględnieniem Jej identyczności ściśle osobowej ukonstytuowanej relacjonalnie, na zasadzie wzajemnych odniesień międzyosobowych określających swoisty dla każdej z Nich sposób, w jaki każda każdej odpowia-

da. Tak więc Osoba pierwsza to Ojciec Syna, druga to Syn Ojca: imiona Ich wzajemnie się tłumaczą. To Ich skierowanie ku sobie nawzajem, wzajemne Ich oddanie się sobie i odpowiadanie tchnie miłością, która – upodmiotowiona w pochodzącym od Niej Duchu Świętym, trzeciej Osobie Boskiej – jednoczy i zespala osobne źródła miłowania. „Communio Personarum” Trójcy Świętej jest też archetypem wszelkiego – w Duchu Prawdy – zjednoczenia ludzkich osób. Majestat „bycia Osobą Boską” ma podobieństwo swe i odwzorowanie w niezmiennej i nieutralnej godności „bycia osobą ludzką”, która wszystkich ludzi równa i jednoczy jako podstawa elementarnej, jednakowo przysługującego im respektu.

Jeśli jakiegokolwiek rzeczywiste odpowiadanie jakiejś osobie utożsamimy definicjonalnie z wartością pojętą najogólniej, to w rozmyślaniu naszym o Tajemnicy Trójcy Świętej uwyraźni się od razu i rozbłyśnie nam godność osobowa jako wartość odpowiadania Osoby Osobie – stanowiąca pierwowzór dla wartości „bycia osobą ludzką” – przez co metafizyka ludzkiego podmiotu ulega z miejsca uzasadnionej aksjologizacji nieodzownej z kolei przy uzasadnianiu definitywnym form i norm życia moralnego. Elementarnie godziwe w naszych postawach, usprawieniach osobowościowych i postępowaniu okazuje się mianowicie to i tylko to, co z wartością tą się godzi, co jej pod każdym względem odpowiada w stopniu dostatecznym (godziwość jest niestopniowalna w odróżnieniu od moralnej chwalebności). Bez odwołania się do tego rodzaju ocen, reguły moralności naturalnej – a w dalszej konsekwencji i nadprzyrodzonej – musiałyby ustąpić miejsca regułom eudajmonalnym kształtującym na swój własny, pozamoralny w gruncie rzeczy, sposób ludzkie obyczaje.

Z jedności Ojca i Syna w Duchu Świętym czerpie swe natchnienie ideowe pluralistyczna „jedność w różnorodności” implikująca szacunek dla wszelkiej godziwej (nieuwłaczającej godności osobowej) odmienności w obyczajach i orientacjach osobowościowych, a w ślad za tym w działalności społecznej i jednostkowej, prywatnej i publicznej, w rozmaitych porządkach życia i strukturach, w jakich zachodzą wydarzenia ważne, wpisujące się w nasz los indywidualny czy zbiorowy, i toczą się dzieje świata. Zaryzykować wolno tezę, że im coś bardziej jest zróżnicowane, tym głębiej sytuować się musi racja zjednoczenia i podkreślać ją należy mocniej.

Wartość bycia osobą – jako tak zwana godność ludzka – choć sama w sobie nie jest wartością moralną, bo nie od naszych decyzji zależy jej istnienie i jej powszechna dla autodeterminacji ludzkich miarodajność, nie tylko w sensie ściśle moralnym integruje życie duchowe poszczególnych ludzkich jednostek, stanowiąc podstawę dygnitatywnej jednorodności ich postępowania i jego etycznych ocen, lecz scala ponadto i jednoczy społeczności ludzkie, rodziny i narody, ludzkość wreszcie całą jako ogólnoplanetarną populację, reorientując ją wielowymiarowo ku upragnionej wspólnocie miłujących się wzajemnie ludów i narodów. Owa wspólnota – projektowana w duchu miłości rozumianej

personalistycznie i uniwersalistycznie – to kontrpropozycja wobec globalizmu kosmopolitycznego, kryjącego się wstydliwie za różnymi machinacjami różnych ludzi siedzących „na workach złota”. Człowieka ubogiego, najsłabszego gospodarczo, zwłaszcza pogrążonego w skrajnej nędzy, wysuwa na pierwszy plan: nie w imię „walki klas” i totalitarnego zniewolenia, lecz w imię takiego radykalnie odmiennego zespołu idei naczelnych, jaki można by albo nawet trzeba lansować i propagować pod hasłem „chrześcijański komunizm”.

O jakież idee chodzi w tym świecie pełnym bezideowości? Jeśli mają one przyświecać wszystkim ludziom i odgórnie sterować ich życiem, to pierwszą z nich będzie właśnie idea osobowej ludzkiej godności, myślowy odpowiednik realnej i obiektywnej wartości, jaką jest osoba ludzka, każda bez wyjątku. Ową godność ujmowaną ideacyjnie chronić trzeba przede wszystkim przed pomieszaniem jej z innymi wartościami, które – jako narzędzia myślenia aksjologicznego – wykazują jakieś do niej podobieństwo. I tak dla przykładu, tak zwana „godność osobowościowa” dotyczy zespołu cech o bardzo różnej proveniencji, określających zmienną i nieustannie narażoną na szwank „osobowość” ludzkich osób: wszystko to, co ktoś posiada na swym ogólnozyciowym – merytualnym i dyspozycyjnym (sprawnościowym) koncie, z czym się na swój sposób jakoś utożsamia, co wiąże się często z jego pozycją społeczną, z jakimś faktycznym czy domniemanym wyniesieniem własnym w otoczeniu innych ludzi. Są to wszystko wartości niewątpliwie ważne, nierzadko wręcz dostojne i doniosłe, ale wtórne, nadbudowane właśnie na tej elementarnej godności człowieka, jaką mu nadał a limine Bóg. Tej wartości ściśle osobowej – jako obiektywnej i realnej – bronić nie potrzeba: jest nieutralna, nikt z nas nikomu odebrać jej nie może, nikt nawet siebie samego nie może jej pozbawić, nie może uwolnić się od niej, choćby bardzo chciał. Można co najwyżej pozbawić się – i to z trudem – świadomości, że się jest kimś, komu nie wszystko wolno wówczas nawet, kiedy „nikt nie patrzy”, boć osoba to więcej niż „coś” i nie wszystko godne jest człowieka; zresztą zawsze patrzy na niego Bóg i nakazuje tej właśnie wartości priorytetowej zabierać głos i protestować w sytuacjach, w których to, czego się ktoś dopuszcza, nie może nie wywoływać odrazy moralnej (*indignatio*), czy wręcz oburzenia ze strony innych osób, po prostu jako osób. Można też, niestety, nie tylko zwalczać obecność tej wartości w motywacji własnej, lecz tłumić ją również w świadomości cudzej, ukierunkowując czyjeś wykształcenie i wychowanie tak, że człowiek coraz mniej i coraz rzadziej czuje się tym, kim najwewnętrzniej i niezbywalnie jest. Historia i współczesność nasza jest świadkiem, że drogą tego rodzaju depersonalizacji „intencjonalnej” można dojść do zezwierżenia.

Tak oto chrześcijański personalizm wierność Bogu, który „jest miłością” (1 J 4, 8), nie tylko propaguje, lecz i uzasadnia. Do osoby jako wartości obiektywnej i realnej, wpisanej w naszą podmiotowość ludzką od początku i na zawsze, stanowiącej zarazem źródło i uzasadnienie wrodzonych nam upraw-

nień i odpowiadających im moralnych obowiązków, nie dociera, bo dotrzeć nie może, racjonalistyczne „myślenie o myśleniu”, tym bardziej fizykalistyczno-empirycystyczna czy strukturalistyczna penetracja ludzkiego podmiotu. Wartości tej istotę w stanie czystym odsłonić może dopiero myśl ukierunkowana na rzeczywistość metafizyczną, ku temu, co w nas absolutnie niewymienne, „nieredukowalne”¹, niezawłaszczalne, najściślej osobowe, co wywodzi się z doświadczeń życia wewnętrznego, z pogłębionej kontemplacyjnie refleksji nad tym, co dzieje się w nas, czego też doświadczyli inni ludzie, wiarygodni świadkowie Transcendencji. Podstawowe i elementarne odpowiadanie osoby jako osoby osobie jako osobie, wartość bycia ku komuś, dla kogoś, wobec kogoś z pełnym pietyzmem odniesieniem do trynitarnego archetypu międzyosobowej afirmacji, przyświeca – przede wszystkim z kart Ewangelii – niczym gwiazda przewodnia nie tylko pielgrzymom własną ścieżką krocącym przez świat i uwikłanym na tym niewielkim raczej dystansie w powszechne jego dzieje, lecz prowadzi również liczne pokolenia i wielkie społeczności ludzkie przez wieki i millennia. W szczególności i nade wszystko chodzi tu o tę wielką wspólnotę wspólnot życia nadprzyrodzonego, jaką Chrystus zbudował i buduje, powierzywszy jej w Duchu Świętym wszystko, czego nauczał o Królestwie Bożym.

„Liturgia dziejów”² Kościoła jest liturgią trynitarną. Tajemnicą jej żywej gleby i atrakcyjności jest Duch Komunii dany Kościołowi, inicjujący i inspirujący w nim całą ekonomię zbawienia, uniwersalistyczną i pluralistyczną: owo nieustanne – rozpisane na wieki i tysiąclecia, na ludy i narody – „dawanie i przyjmowanie” stanowiące istotę życia duchowego w porządku natury i łaski a dokonujące się na wzór tego przedwiecznego dawania i przyjmowania, przez które Ojciec Niebieski jest Ojcem Syna, Syn zaś Synem Ojca w jedności Ducha Świętego. W tym właśnie świętym Duchu Miłości i za Jego sprawą promieniuje ku nam ojcostwo³ i synostwo Boże, realizuje się i umacnia mistyczne Corpus Christi. W tym Duchu Oblubienica Chrystusowa oczekuje swego Oblubieńca, mówi Mu: „Przyjdź!” (Ap 22, 17). W tego też Ducha szkole, ucząc się „wszelkiej prawdy”⁴, uczymy się zwłaszcza tej, że również z tymi, dla których ewangeliczna prawda o człowieku i Bogu z takich czy innych przyczyn jest zakryta, zawsze łączyć nas winna autentyczna – ofiarna i bezinteresowna – miłość.

Jeden Duch do jednej wzywa nas nadziei. „Jeden jest Pan, jedna wiara, jeden chrzest” (Ef 4, 5). Oto co generalnie biorąc miał i ma do zaofiarowania światu Kościół Chrystusowy. Na progu trzeciego tysiąclecia przyświeca mu nadal wezwanie, jakie odczytać można z pierwszych liter imion pierwszych

¹ Por. K. Wojtyła, *Podmiotowość i „to, co nieredukowalne” w człowieku*, w: tenże, *Osoba i czyn oraz inne studia antropologiczne*, Lublin 1994, s. 433-443.

² Por. t e n ż e, *Myśląc Ojczyzna...*, w: tenże, *Poezje i dramaty*, Kraków 1979, s. 90.

³ Por. t e n ż e, *Rozważania o ojcostwie*, w: tenże, *Poezje i dramaty*, s. 69 oraz t e n ż e, *Promieniowanie ojcostwa*, w: tenże, *Poezje i dramaty*, s. 228, 230.

⁴ Por. J 16, 13.

siedmiu papieży: „placeas” – podobaj się! (Petrus, Linus, Anacletus, Clemens, Evaristus, Alexander, Sixtus). Domyślić się łatwo, że chodzi o podobanie się ludziom tak, aby się to przede wszystkim Bogu podobało. Tak – akrostychicznie – celebruje swą misję dziejową procesja namiestników Zbawiciela. Uczynieni „sługami sług Bożych”, pozostawili owoce szczytnej swej posługi w eklezjalnych „strukturach ocalenia”: to, co w całej ich działalności duszpasterskiej było pontyfikalnym budowaniem mostów wiążących niebo z ziemią. Bez tej wielowiekowej troski o jedność i atrakcyjność Kościoła cóż by się stało ze słowami Wcielonego Słowa? Czy obciążone zarozumiałością wielu różnych tłumaczy i komentatorów nie utonęłyby i nie poszły na dno w proliferacji słów przemądrzałych, poszukujących własnej chwały? Nie ulega wątpliwości, że wcześniej czy później tak by się właśnie stało. Syn Boży jednak wie co czyni: nie przyszedł po to, by rzucić nauczanie swe na wiatr.

Iluż to ludzi przez dwa tysiące lat patrzyło z podziwem – lub niekiedy z niechęcią, czy wręcz z nienawiścią – na to „miasto na górze osadzone”, na tę wspólnotę przez Chrystusa *expressis verbis* powołaną do istnienia i chronioną przez wieki tak, że nie potrafiły jej zmóc nieprzeliczone zakusy niosących fałszywe światło herezjarchów i pochłonąć jej nie zdołały nawet sporadyczne powodzie apostazji czy barbarii; iluż pytało: skąd ta w niej nadzieja niewzruszona, mocniejsza od sił rozkładu? Gdzie bije źródło życia tego dziwnego organizmu, w czym tkwi tajemnica jego tożsamości utrzymującej się w różnych i rozlicznych społecznych środowiskach skazywanych przez logikę dziejów na bardzo nieraz daleko idące przeobrażenia kulturowe i cywilizacyjne?

Słyszysz się czasem i czyta, że Kościół nie jest święty, że i on ma wiele grzechów na sumieniu. Występki laikatu i hierarchów bywały zapewne nieraz przyczyną lub okazją, bez której ten czy ów człowiek należałby – albo właśnie nie należałby – do Kościoła; racją jednak istotną, źródłem łaski czyniącej nas uczestnikami dwutysiącletniej Procesji Eucharystycznej nie są nasze grzechy: Kościół nie uczy nikogo niewierności Bożym przykazaniom, nikomu nie pozwala grzeszyć. Do mistycznego ciała Chrystusa należymy przez wszystko, co w nas jest „po myśli Bożej”, nie wyłączając fizycznego naszego organizmu; warto o tym pamiętać, gdy ktoś obciąża konto moralne Kościoła wszystkim, co czynią, czego dopuszczają się „niewierni wierni”.

Ogromnie ważną dla zreszeń i społeczności ludzkich – nie tylko tych, które z Ducha Bożego czerpią swe istnienie, lecz dla jakichkolwiek – jest jedność ich konstytucjonalna, jaka określa samą ich istotę; dbałość więc tworzących je osób o zachowanie organicznej czy organizacyjnej tożsamości jest sprawą podstawową. Wystarczy jednak uważnie spojrzeć na to, co stwórczym swoim „fiat” powołał Bóg do istnienia i życia, by nie mieć wątpliwości co do tego, jak bardzo odpowiada Bogu również różnorodność: wewnętrznej czy zewnętrznej struktury stworzeń, zwłaszcza obdarzonych życiem, ich sposobów zdobywania i przekazywania informacji, ich barwy, woni, emocjonalności, uzdolnień specjalnych.

Bez wątpienia idea jedności – zwłaszcza w naszym, ludzkim świecie – gra rolę wiodącą: i tak na przykład w dziełach sztuki – w szczególności w dziełach o wysokiej randze artystycznej – identyczność i oryginalność osobowości twórczej oraz niewymiennosc jej posiadacza, ściśle osobowa, przeblyskują poprzez kompozycję form i kolorów, sekwencję tonów czy fraz językowych; niemniej tych różnych – dostatecznie zróżnicowanych – elementów piękna musi być dużo: jedność bez wielości i różnorodności traci rację bytu.

Jakże bogatą – patrząc od tej strony – okazać się musi nasza polska kultura, czyniąca nas narodem różniącym się zasadniczo od narodów etnicznie nam najbliższych, byśmy mogli zachować liczące się miejsce wśród narodów świata. Nasza jedność – języka, historii, biologicznego również pochodzenia – cenna jest niezmiernie, najgłębiej nas określa jako naród. Tradycyjny szacunek nasz dla różnorodności jest znany i owocuje pięknie, jak długo nie przeradza się on w ksenofilię, w bezmyślne hołdowanie obcym wzorom, opiniom i modom, które nie ubogacają nas bynajmniej, lecz służą narzucaniu „sztampy”, ujednoliceniu nas na cudzą modłę. Dotyczy to w szczególności recept na stopniową kosmopolityzację naszej gospodarki narodowej.

Naród nasz – rozszarpywany przez zaborców wielokrotnie – ma szczególne prawo do bycia „u siebie” i „na swoim”, ma też prawo do samodzielnego decydowania o swym losie, o tym, czym jest, i o tym, co ma: prawo niezbywalne, nie do odsprzedania za żadną miskę soczewicy. Czy godzi się z godnością osób ludzkich wyzbywanie się tego, co najbardziej własne? Naród ocalony – zachowany w swej całości dzięki swej kulturze, dzięki ciężkiej pracy ojców, dziadów i pradziadów – może niekiedy w dziejowej swej wędrówce przekraczać i takie bramy, od jakich klucz znajduje się w ręku ludzi obcych, co do których intencji – zwłaszcza gdy chodzi o dalekosiężne plany i programy – można mieć pewne uzasadnione historycznie wątpliwości. Co się stanie z „jajkiem na twardo”⁵ przeznaczonym do omletu? Co powiedzą kości naszych przodków (a kości są wymowne, i jak jeszcze!), gdy ich późne wnuki czuć się będą raczej obywatelami „wieży Babel” w jakimś jej wydaniu „nowym i wspaniałym”?

Prawo do tego, by się „pięknie różnić” od innych jednostek czy od innych nacji, wydaje się fundamentalne dla natury ludzkiej w jej wersji obecnej i definitywnej, w jakiej życie duchowe rozkwitło i od dziesiątków tysięcy lat rozkwita na kanwie życia psychicznego. Niestety „libido dominandi” w człowieku współczesnym nasiliło się i sprawia, że w toku dziejów nie brak usiłowań, aby tę ściśle osobową swoistość ludzkich osób, o jakiej była mowa, stłumić albo nawet zniweczyć całkowicie, nie pytając kim jest człowiek i czego naprawdę chce.

⁵ „Z jajek na twardo nie robi nikt omletu” – powiedział, jak powszechnie wiadomo, Charles de Gaulle, gdy go zapytano, co sądzi o „Stanach Zjednoczonych Europy”.